

# Janda odkryła nadzieję u Becketta

**Rozmowa** | Krystyna Janda opowiada o swoim Teatrze Polonia i piątkowej premierze „Szczęśliwych dni”. Wraz z Jerzym Trelą zagrają małżeństwo pomagające sobie w najtrudniejszych chwilach. Z ponurą interpretacją tego dramatu zerwał również Krzysztof Jasiński w nowym spektaklu Teatru STU

Wysłuchałem, że Piotr Cieplak przygotowuje „Szczęśliwe dni” Becketta jako spektakl o miłości i wzajemnym oddaniu, gdy Antoni Libera, tłumacz oraz inscenizator Becketta, przyzwoił nas, że są one zapisem rozpadu małżeństwa, które oczekuje na śmierć. Nie obawia się pani, że agencja reprezentująca autora zaprotestuje przeciwko takiej inscenizacji?

KRYSZYNA JANDA: Nie. Nie ma w niej odstępstw od intencji autora. A jeśli chodzi o realizację jego partytury... Usiedliśmy kiedyś nad tekstem, odczytaliśmy go wiernie, z zapisanymi precyzyjnie pauzami. Po piętnastu minutach byliśmy udrećzeni. Było to nie do przejścia. Rozmawiałam z Natashą Parry, która grała w „Szczęśliwych dniach” u Petera Brooka. Też odeszli od wiernej realizacji partytury utworu. W inscenizacji Sthrelera, jaką oglądałam niedawno w Krakowie, nie było ani jednej pauzy. Krzyżująca kobieta.

Nie zagra pani kobiety rozpaplanej, ciągle szukającej czegoś w przepasnej torebce?

Zagram. Ale Piotr chce, żeby moją rolę bardziej prowadziła myśl niż forma, gesty czy rekwizyty. Żeby zagrała jak najbardziej prywatnie, nie malując się, nie przebiegając. I mam z tym problem.

Dlaczego?

Bo narzucenie wyraźnej formy ułatwia zagranie tego tekstu. Formy bogatej, efektownej. Ale Piotr szuka człowieczeństwa, naturalności, kogoś bliskiego i zrozumiałego dla publiczności, kobiety, z którą mogłaby się zidentyfikować.

Czeka nas przetłumaczona interpretacja Becketta.

Odpowiem panu słowami Becketta: - Z tym jest jak pewnie ze wszystkim, wszystko zależy od indywidualnego przypadku. Piotr Cieplak kocha ludzi i świat, uważa, że przyszłością ludzkości jest miłość, trwałe związki, dobro, a nie zło. Myślę podobnie i mam ochotę na próbę takiej interpretacji. Na spektakl o przemijaniu, ale i konieczności pomagania sobie, o miłości dojrzałej, która rozumie, że ważne są nie wielkie emocje, lecz wspólna codzienność, wierność, lojalność: pewność, że nawet w najtrudniejszej sytuacji możemy na tego drugiego liczyć.

Chyba powinna pani zmienić nazwę teatru z Polonia na Pozytywny.

Może mógłby się tak nazywać. Nie mogę znieść destrukcyjnego i negatywnego myślenia. Oczywiście nie stworzyłam teatru, żeby nieść dobro i głosić miłość. Gdybym miała taki cel - zbudowałabym kościół.

A byłaby pani w stanie zagrać w pozytywnej tonacji przeniknięte obsesją samobójstwa teksty Sary Kane?

Mogłabym, tylko po co? Z tego samego powodu od jakiegoś czasu unikam choćby Strindberga.

A ja pamiętam panią z „Panny Julli” Strindberga właśnie.

I starczy. Z jego tekstów nie wynika dla mnie nic poza negacją dla samej negacji: życie jest okropne, a człowiek zwierzęciem. Zajmując się zakamarkami strasznych dusz, tracimy nadzieję, życie przestaje mieć sens. Dlatego kilka lat temu powiedziałam jednemu z młodych reżyserów, że nie mam zamiaru grać kobiet głodzących dzieci w proteście przeciwko temu, jaki świat jest zły. A takich

sztuk jest ostatnio wiele. Niech sobie młode aktorki głodzą swoje sceniczne dzieci. Ja na to jestem za stara. Matki z „Pelikana” Strindberga też nie mam zamiaru grać. Zostawiam to ambitniejszemu.

A kto ma grać małżeństwa, które kończą się ponurym milczeniem, tak jak to bywa u Becketta?

Mówi pan o „Szczęśliwych dniach”? A kto powiedział, że to jest właśnie tak napisane? Ja gram tylko to, o co prosi reżyser i jestem mu za to bardzo wdzięczna. Tak naprawdę gram to, co zapamiętałam z dzieciństwa, czyli sztukę o mojej babci i dziadku, dwojgu kochających się starszych ludziach, nie mogących bez siebie żyć. Wychowywałam się w ich domu. Babcia w ogóle nie wychodziła, bo chorowała, dziadek był jej nogami, oczami, rękoma. Pamiętam, że kiedy wracał ze sklepu, opowiadał jej absolutnie wszystko, co widział - jak kwitną drzewa, że utyla sąsiadka i gdzie jest rozkopane. Gdy mnie babcia wysłała na pocztę, a po drodze nie zdarzyło się nic ciekawego - musiałam moje wyjścia uatrakcyjnić, nadrabiać wyobraźnią. Oboje - i ja, i dziadek - ukazywałyśmy jej, z miłości, że świat jest lepszy. Kłócili się, de nerwowali się nawzajem i jednocześnie kochali śmiertelnie. Myślę o nich z wielką

**Mam ochotę na spektakl o przemijaniu, ale i pomaganiu sobie, o miłości dojrzałej**

czułością. Przeważnie ludzie bywają małostkowi, ale jak zdarza się związek dwojga rozumiejących się - naprawdę może być pięknie, zawsze.

„Szczęśliwe dni” bliskie są monodramowi i tylko w tej formie można oglądać panią ostatnio. Zapewne gwarantuje komfort decydowania o wszystkim i skupienia się na sobie. Ale czy wyobraża sobie pani jeszcze sceniczny dialog z innymi aktorami w spektaklach z dużą obsadą?

Za chwilę zaczynam próby do „Boskiej”, gdzie będzie grać kilka osób. Generalnie jednak mojego teatru nie stać na duże obsady. Nasze „Trzy siostry” na otwarciu dużej sceny to inscenizacja ponad stan. Na szczęście okazała się frekwencyjnym hitem, inaczej nie moglibyśmy długo eksploatować tego przedstawienia - teatru nie byłoby stać na taki koszt. Dlaczego zagrałam w „Ucho, gardło, nóż” swoją pierwszą rolę w Teatrze Polonia? Bo nie miałam pieniędzy na nic. A ja tu jestem za darmo.

Wszystkie moje monodramy powstały z biedy. „Shirley Valentine” zaczęłam grać, bo byłam w siódmym miesiącu ciąży, sama. Zwróciła się po czterech przedstawieniach, gram ją do dziś, utrzymuje Polskę. „Mała Steinberg” powstała, bo trzeba było pomóc Fundacji Synapsis zajmującej się dziećmi autystycznymi.

A nie będzie najtrudniejszą rolą dla pani - dyrektorki i właścicielki teatru - słuchanie reżysera?

Przecież jestem aktorką od 30 lat. Zagrałam w... chyba już można liczyć moje role na setki, a wszystkie ktoś reżyserował.



Krystyna Janda uważa, że ogromny wpływ na spektakl miało obsadzenie w roli Williego Jerzego Trela

Ale ostatnio woli pani sama reżyserować.

Lubię reżyserować. Robię to od 15 lat. Ale spokojnie, znam swoje zalety i wady jako reżyser. Becketta robi Piotr Cieplak, od lat marzyłam, żeby spotkać się z nim w pracy. „Boską” wystawi Andrzej Domalik. Jeden tytuł przygotowuje Małgosia Szumowska; kolejny - ważny, społeczny, amerykański tekst - znów Piotr Cieplak. Spo-

kojna, że zostawiam Polonię w rękach wspaniałych i odpowiedzialnych ludzi, oddałam się reżyserować pierwszą w życiu operę.

Za trzy dni premiera, co powie na państwa interpretację Becketta jego tłumacz Antoni Libera?

Kiedy pytałam go, kiedy przyjdzie do naszego teatru, odpowiedział, że Piotr chce go

zaprosić dopiero na premierę. Dopytywał, jak rozwiążemy scenę finałową - czy Willie idzie zabić Winnie. Powiedziałam, że w naszym finale Willie przychodzi pocałować Winnie. Beckett wyposażył bohaterów w pistolet, ale nie musi on służyć do zabójstwa, może do tego, by skrócić życiowe męki? To niewątpliwa pociecha, że jesteś pod ręką - mówi Winnie. - rozmawiał Jacek Cieślak